

**OLGA DAUKSZTA**

---

WIERSZE WYBRANE

**3** BIBLIOTEKA  
ZAPOMNIANYCH  
POETÓW

WYDAWNICTWO OŚRODEK „BRAMA GRODZKA – TEATR NN”





**OLGA DAUKSZTA**

WIERSZE WYBRANE

**3** BIBLIOTEKA  
ZAPOMNIANYCH  
POETÓW





**Ministerstwo  
Kultury  
i Dziedzictwa  
Narodowego.**

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

# OLGA DAUKSZTA

WIERSZE WYBRANE

**REDAKTOR SERII**

PIOTR MITZNER

**3** BIBLIOTEKA  
ZAPOMNIANYCH  
POETÓW

**WYBÓR I POSŁOWIE**

EWANGELINA SKALIŃSKA

WYDAWNICTWO OŚRODEK „BRAMA GRODZKA – TEATR NN”



Z tomu *Dźwina o zmierzchu* (Dyneburg 1930)

## DŹWINA

Nie jest rzeką wierną, lecz zmienną, zazdrosną,  
piękno swe ukrywa pod świtką z samodziału  
siwą i zgrzebną, na wieśniaczych tkaną krosnach,  
a na słońcu i wietrze lekko zbłękitniałą.

Niebezpieczna jej szczerość, hojność i ukryte czary.  
Otworzy na piersi samodział: oślepi zjawami,  
sypnie z wody szczerozłote dukaty, ruble, talary,  
alchemiczne bryzgi złota, pluśnie srebrnymi rybami.

Otworzy szkarłatne zamki na dnie. Uderzy w dzwony.  
I zbrzydnie ci wszystko oprócz niej na ziemi,  
jak kamień na jej brzegu staniesz w nią wpatrzony,  
niepotrzebny nikomu na świecie i na zawsze niemy.

## MIELIZNA

Włosy jej zielono-popielate  
pachną linami jak hanzejski maszt,  
umierają wetknięte w nie kwiaty  
i gasną w nich tęsknoty nieśmiertelnych gwiazd.

Ciało zanurzone w wodzie płowe,  
wikingowego okrętu zrąb.  
A oczy szklane, zmarłe bursztynowe  
ciągną serca ludzkie niepowrotnie w głąb.

Zbłąkanych żeglarzy ojczyzna,  
strzaskanych wiosel łup.  
Ziemia mogilna, żółta mielizna  
i spopieliałych tęsknot błękitnych grób.



## Ł DŹWIŃSKI

Najgorsze są takie oczy, jak dno naszej Dźwiny  
poprzez fale widziane, słońcem nagle zalane,  
czasem złoto-ciepłe, czarem urągliwe, obojętnie sine.

A najczęściej zimne, szkliste, jak kamienie zszarzałe  
nad brzegiem rzeki, ociężałe powieki,  
kiedy najdalej, „do czorta” chcą posłać świat cały.

Lecz oto raptem w pewien dzień, lub wieczór wiosenny,  
zielono-złote wino zaszumi pijaną Dźwiną  
w oczach ospałego Hrycia... benedyktynem płomiennym.

Strzeż się tych oczu zielono-złoto-szaro-piwnych:  
w nich szał dźwińskiej wody, gdy się kruszą lody  
wezbrane, gwałtowne; stopione w nich rozbójnicze grzywny,

9

za które przepite – młodość, miłość, talent i dola.

Dlatego ta woda tak pali, zmartwychwstają żale.  
Uciekaj od tych oczu w szerokie, wielkie pola!

Inaczej... – zamiast wina, miłości... Jeśli świat ci miły,  
nie trzeba marzyć, bo może się zdarzyć:  
z oczu tych, jak z dna dźwińskiego, lykniesz tylko ilitu.

## INFLANTY

Inflanty – kraj sosen spalonych wśród piasków,  
łąd ptaków przelotnych, wrzosowisk i lasków.  
Szum lodów wiosennych z Wałdajskiej Wyżyny  
i pomruk przekorny burzliwej w dzień Dźwiny.

Kraj szary, siermiężny, ciąg wichrów z wybrzeża  
morskiego i tęsknot za dałą, ostrożność rubieża,  
przewrotna pokora i piaskiem zawiana  
głąb ziemi gorącej, jak serce wulkana,

co zastygł pod lawą... A kraj karłów niemych  
nie pyta już dawno: – Dlaczego i czemu?  
W królestwie wrzosowisk, z uschłemi sosnami,  
bezdenne, ogromne jak niebo nocami.

Nad ziemi oddechem bezkresy, przestwory,  
w otchłanne, nadziemskie poloty-wieczory.  
I nigdzie piękniejszym się niebo nie zdaje  
wśród deszczów gwiazdzistych, jak w szarym tym kraju.

## SEN NAD RANEM

Na ulicy, nad Dźwiną, wśród sklepów żydowskich  
i starowerskich domków o zielonych oknach,  
przed którymi jarzębiny wiosną w deszczu mokną,  
w noc jedną wyrósł pałac o frontonach włoskich,  
à la Rastrelli... A o szóstej z rana  
po schodkach marmurowych jaśnie graf Paulucci  
z rajtpejczem wyszedł na brzeg Dźwiny w srebrzystej peruce,  
niebo, chmury oglądał ze zdziwieniem pana,  
który przybył z wojażu. Ze znudzonym gestem  
bił o swe kolana, po sztylpach rajtpejczem...  
A potem wszystko znikło: ja, graf, mgła pajęcza,  
i było to wiosną, w tysiąc dziewięćset trzydziestym...

## NA RÓŻOWEJ ZIEMI

W pustem polu za Dźwiną cegielnia Moskala,  
różowa wkoło ziemia, jak pluszowa suknia.  
Rudobrody gospodarz cegły tu wypala,  
na ścierniskach jesiennych w różu nawet włókna.  
Dwunastoletni Michałko cegły składa w stosy,  
a w południe zmęczony śpi w chwastach nad rzeką.  
Brązowy, na wpół nagi, śpi miedzianobosy,  
całują mu dziewanny oczy pod powieką.  
... I nagle łoskot kotłów. Okrzyk: „Jezus Maria”!  
Przez pierś nagiego chłopca – kopyta, kopyta ...  
W skrzydłach przecwałowała złocista husaria.  
Deszcz krwi. A ziemia wkoło... rdzawo-złotolita ...  
Trudno wstać do roboty: bolą śniade plecy.  
– Lecz niech bije w Michałkę choćby błyskawica,  
byle jeszcze raz ujrzeć, jak w skrzydłach przeleci  
po stratowanej piersi ognista konnica ...

## NA PROMIE

Zawsze o zorzy, raz na rok, kiedy Dźwina cicha,  
z Lassenberga do promu jedzie z białymi chartami,  
na czarnym koniu, jak z starego angielskiego sztychu,  
baronówna w czarnej amazonce, ze złotemi ostrogami.  
Spod kapelusza „Rembrandta” loki popielate  
spadły jej na plecy. A w oczach zaduma ...  
Konia ledwo stąpa, płynie ku Dźwinie z szkarlatu,  
baronówna sama jedna podjeżdża, bez gruma.  
Ten na swej rudej klaczy wstrzymał się u budki,  
gdzie bilety. Na promie skrzypią wozy, ryczą krowy,  
pieją kogutki w koszach, klócą się przekupki  
i klną pijani przewoźnicy na twarzy purpurowi.  
Na mostku amazonka z koniem i na smyczy charty  
idą jak cień. Nikt ich nie widzi prócz starego Afonia.  
Lecz mówić o tem ludziom na promie czyż warto:  
ryknąć śmiechem i spłoszyć baronównę i konia.

## RYCERZ W NISZY

Ostatnie słowo nie mówi się głośno...  
Było to dzisiaj, gdy w czeremchach wiosna,  
jak biała panna w szumiącym ogrodzie,  
czytająca poezje o rosistym wschodzie,  
czeremchowe słowa Julka o Balladynie  
cierpkie i zawrotne... kiedy ta na spotkanie  
Grabca idzie ze świecą, a ręce dziewczynie  
świecą się różem, strachem, miłowaniem.  
Tak, było to wiosną o zielonym szumie,  
gdy drzewa rozśpiewane, jak organy w tumie  
jutrznią. W parku dziewczyna nie czytała,  
na białej kartce list komuś pisała,  
potem rwała kartki. Wiatr je niósł za wrota  
zamku, gdzie w różowej niszy  
głowa rycerza z oczami, pełnemi wróblego pomiotu  
szemrała w gruzach w takt mówiącej ciszy...

## RYBAŁT WĘDROWNY W DŹWIŃSKU

W pewien wieczór majowy miasto było liliowe  
od zmierzchu, zgaszonych uczuć i rozkwitłych bzów.  
Przez ulice dźwińskie: Rajnisa, Woldemara i Ryską  
i przez inne, szmerem kryształowych słów,  
szepciem wstydlivych wyznań, bolących jak blizny  
raptem otwarte, przeszedł wędrowny poeta Maj,  
rybałt średniowieczny z lutnią i przez to śmieszny,  
nie na miejscu w Dźwińsku, jak anielski rozśpiewany gaj.  
Lecz coś musiało się stać: drzewa zaczęły się chwiać,  
w takt piosenki rybałta z lutni sypał się kwiat,  
grały kamienice. Żydzi wybiegli z sklepów na ulicę  
i długo patrzyli na ametyst rybałtowych szat  
z dziwnej etaminy. Zapomnieli mierzyć ją „na arszyny”.  
Panna Lusia w bibliotece wzięła poezji tom,  
choć nie lubiła wierszy. Niebo stało się szersze  
i w ogrodzie pod bzem podniósł oczy ślepy sfinksu złom.

## W PIĄTEK WIECZOREM

Cały dzień padał deszcz pachnący grzmiotem burzy,  
sturkusował bruk, niebo wpadło do kałuży.  
Wieczorem w korytarzach ulic gasły smugi zachodu,  
czerniały lipy na grobli, orkiestry grały w ogrodach.  
Lecz w mieście było pusto, cicho: wieczór szabasowy.  
W domkach świece na stołach, w oknie profil Rozy.  
A nad księgą widziałam dwie schylone głowy:  
sędziwego Żyda i w berecie średniowiecznym Spinozy.  
Siedzieli rzędem. Starzec kiwał się rytmicznie w zachwycie.  
Śpiewał chwałę Jehowie wraz z wielkim Psalmistą.  
W dzień woził taczka ciężary, teraz dziękował za życie,  
za wieczór lipcowy, blask świecy i za obrus czysty  
na stole. A mędrzec przy nim milczący wsparł skronie  
na rękę, zgarbił się w zadumie i słuchał i słuchał,  
przymknąwszy powieki, zacisnąwszy z pergaminu dłonie,  
niby olśniony... Była cisza modląca się, głucha...  
O północy pod memi oknami mignęły berety:  
mędrzec odchodził w noc. Deszcz dzwonił jak dzęty,  
brylanty czarne, sypane z planet na brukowaną drogę  
ręką władczą i hebanową maga-astrologa.



## W RYDZE

Z trzech łuków topazowego witrażu w murze  
wychyliła się twarz śniada w środkowym rozworze...  
Potem uliczkami za mną szedł mistrz w kapturze,  
a za miastem szumiało zielone Bałtyckie Morze.  
Domy o trzech oknach spadały na mnie ścianą twardą.  
Brakło tchu... Doganiał mię mistrz z twarzą Abelarda.

Wpadłam w labirynt zaułków. Wierze, maszty, Dźwina,  
okręty Hanzy, czajki, bryzgi i głucho bijące zegary.  
Nęciła głąb. Wstrzymała mię mistrza ręka z bursztynu...  
Śmignęłam w strachu w ulice. Dzwoniły odwieczne fary.  
Zapłakało serce, jak ze snu obudzone raptem dziecko.  
– Ach, uciec, uciec od siebie. Prędeż w ulicę Elizabeczką.

Szeroki plac. Rozdygotana zieleń drzew. Esplanada.  
– O na białej ławce usiąść. Niech serce nie krzyczy...  
Skrzypi żwir. Na plamy światła wysoki cień pada.  
Z twarzą Abelarda idzie mój nauczyciel Sergiusz Dmitrycz.  
– Nie!... To przecież Rousseau... Gdy się do mnie zbliża,  
pozdrawia mię z uśmiechem, z przekorą: – Ave, Heloiza!

## BIJĄ ZEGARY

Miasto w prowincji, – żydowskie, brudne.  
Domy – pudełka. Urzędy, szkoły  
niższe i średnie. Są i kościoły  
o paru wieżach. Miasteczko ludne.  
Wieczór jesienny rzuca blask wkoło,  
w jaskrawem złocie odmět ułudny,  
ametyst dzierzga wschód i południe,  
a zmierzch się płaszczy w zaułków doły.  
Okna rozpala zachód wrześniowy.  
Stuk serca... Cisza... A pokój szary.  
Cyt! Gdzieś na basztach biją zegary...  
Dzwonią hejnały... Akord miarowy...  
Harmonia wieków... Las wież! ... Bez liku ...  
Przedemną miasto... cudo-gotyku! ...

## POCIĄGI ODCHODZĄ...

Strzępy snu rwą się niemi  
w zeszywniałych palcach rąk ...  
Granatowa próżnia; przepaść w krąg,  
krew o serce chłoczce brunatnymi liśćmi,  
w oczach kłębek, fosforyczny krąg.  
– Kto jestem, kim jestem ja tutaj?  
A z próżni straszliwe: – aachch!  
Przenikliwy, niesamowity w krzyku strach,  
bez końca ostrej spirali rozprężona nuta,  
dziurawiąca na wylot mego domu dach!  
Na ulicach to? ... Nie. – W zaułku czarnym  
wetknęli komuś pod serce fiński nóż,  
zrywają szmaty, ciało pada wzdłuż,  
zbój się pochylił pod krwawą latarnią?  
Aach! ach! Achch ... Znowu nad mózgiem tuż ...  
W nocnej zmianie, w fabryce, w warsztacie  
rzemień maszyny wciągnął ramię w chód  
koła i zazębien, w sonej stali chłód,  
rozpala ją krwią w elektrycznej poświacie?  
Ach, ach! znowu krzyk oszalałych nut.  
Matka umiera dziecku? Dziewczyna się topi  
w Dźwinie? Czyjże to pożegnalny krzyk?  
W ciszy nade mną zawisł obnażony mig  
prawdy... Błady koń w stuku i galopie  
przeleciał rżąc ulicami i znikł ...  
Achch! ... to zaraz odejdą pociągi  
i do wagonu już wszedł przezroczystry mnich,  
składając dłonie, zaśpiewał pokory akrostych  
i stał długo zgarbiony przez oknem, w przeciągu  
żegnań, i straszliwy krzyk umierał i cichł ...

## W MIASTECZKU SUBOCZU

W miasteczku Subocz, leżącym na uboczu  
wielkich miast, ludzi, idei i czynów,  
jest kościół, synagoga i pod górę droga  
nad jeziorem biegnąca, obrosła wikliną.  
Lud pobożny: litewski, żydowski, łotewski,  
zrujnowane wkoło majątki, folwarki,  
w samodziłach brązowych gospodarze nowi  
do Subocza na rynek jadą w poniedziałki.  
Jak tysiąc lat, tak dzisiaj zboże się kołysze,  
w sierpniu fury ładowne wiozą żyto płowe  
i w toń jeziora patrzy oknami rozpacznie  
pusty dom z werandą w głuchem Kaźmierzowie.  
A sierpniowym wieczorem drogą nad jeziorem  
idzie ksiądz kleryk, bawiący w gościnie.  
W czarnej swej sutannie idzie – zasłuchany  
w szepty wierzb przydrożnych i szmery w wiklinie.  
Kobiety, patrzące z ogrodów, myślą, że ksiądz młody  
podobny jest do cheruba ze starej kaplicy...  
A on? – Jak za jeziorem – myśli – pachnie borem,  
i że dojrzały już w borze gorzkawe brusznice...

## ROZES SMARŽO [PACHNĄ RÓŻE]

„Māt, kur ir rožu zeme?”

„Aiz trejdeņiņiem kalniem, aiz trejdeņiņiem  
laukiem”, māte jokoja.

„Māt, izdzēs sveci un ej gulēt. Es iešu  
meklēt rožu zemi...”

– K. Skalbes

„Matko, gdzie jest kraina róż?”

„Za siedmioma górami, za siedmioma  
lasami” – zażartowała matka.

„Matko, zgaś świecę i kładź się spać. Ja pójdę  
szukać krainy róż...”

– Karlis Skalbe

Matko! ... zapal świecę  
tę Ziemowitową z „Króla Ducha”,  
wszak noc głucha,  
a trzeba mi już iść  
wśród sennych pól i rut –  
uśpiony budzić gród,  
gdzie król Popiel  
i w księżycowych pancerzach  
śpią rycerze.  
A każdy dzierży czekan  
lub zardzewiały miecz,  
by w boju mężnie lec.

Matko, niech jasno płonie świeca,  
nie pal mi gromnicy,

daj do rąk błyskawicę,  
wszak czas mi iść  
pod okna sosnowych chat,  
tam śpi z toporem brat  
i czeka na sąsiada złodzieja,  
a rękę mając na obuchu,  
w koszmarze słucha,  
by się rzucić i toporem ciąć;  
zgrzyta zębami przez sen,  
a na dworze kołysze się tylko len ...

I spadają słomiane chochoły  
z krzaków, a na nich rozkwitają róże.  
Więc trzeba mi oświetlić częstokoły  
wiejskie i grodowe podwórza.  
Niech ludzie rzucą broń. Zaświecę  
nad zamkami, polami śpiącemi.  
Czas mi ... Matko, zapal świecę:  
dla wszystkich róże zakwitają na ziemi ...

## NA GRANICZNYCH TRAKTACH

W nocy, o dwunastej gdzieś na białe pola  
spadły fosforyczne, świetlne meteory,  
skrzeplą, w lód zakutą, naszą czarną rolę  
blaskiem nieb przeszły tęczowe kolory.

Było bardzo późno. Spali wszyscy ludzie,  
nie słyszeli grania gwiazdnych paraboli.  
A że nikt nie widział: w tym kosmicznym cudzie  
miasto rozgorzało spektrem aureoli.

A dzisiaj o świcie ... na szybach w mej chacie  
ogród przecudowny wykwił jak witrażu:  
męczennicy święci w kryształów poświacie  
stali zadumani w srebrnym wirydarzu.

Z czoł im wyrastały ciernie jak promienie,  
dobry Pasterz z owcą był tam w majestacie,  
u nóg Jego święte z krzyżami jelenie,  
Archanioł z wagami stał w gaju na czacie.

A przez gaju gęszcze szedł Pielgrzym-Anhelli  
drogą jakąś znaną ... Były takie fakty,  
gdzieś pod Dyneburgiem jest też droga w bieli,  
gdzie kopce bez krzyżów, gdzie graniczne trakty.

## O TEM PISALI POECI

Chciałam ci pisać dzisiaj moje długie listy,  
wiosenne, bardzo piękne i bardzo niezwykle,  
jakich nikt nie pisał... słoneczne i strzeliste...

Nie mogłam słów wyrwać z uczuć mych chaosu  
i bólu zdławionego. Słowa wszystkie milkły,  
kamieniały, jak maski z dramy Ajschylosa.

Zostawały tylko imiona, a nie czyny...  
Zamiast słów do ciebie – ucieczka, przechadzka,  
wiatr w oczy, lody złamane i brzeg mętnej Dźwiny.

Brzeg bez końca, daleki, w polach horyzonty,  
białoruskie, bezbarwne samodiały tkackie,  
nad brzegiem łóz i topoli tryskające lonty.

Lonty dziwnych pochodni – błękitnawo-szare,  
rózgami tnące niebo, zuchwałe płomiennie –  
Było pusto. Czerniały z daleka hangary.

A rzeka w krach zbita. W łoskocie, szumie lody.  
Czy płynęły? Czy ja szłam? Wiatr mi rwał odzienie.  
Przez ból i strugi wiatru w niepamięć są schody...

A potem znowu już w domu... o godzinie trzeciej  
chciałam ci pisać o tem, co najpiękniejsze w świecie;  
lecz żal było, gdyż o niem pisali już poeci...



○ sześć tęczyowych skrzydeł,  
o całych sześć ich par niesamowity  
Seraf młodzieńcze barki wsparł,  
a twarz brązową w górę pod same  
gwiazdy wznosił, w potęgę  
swoich skrzydeł jak miecz wysmukły  
wrósł. Na poczerniałej desce,  
pośród cynobru łun skrzydłami się  
niebieści, ostrym migotem strun, i  
nad przepaścią piekła, nad kłębem  
ludzkich ciał mieczem rozbłyska  
Seraf, malarza twórczy szal. Od  
stu lat stoi dumny, czeka anielskich  
trąb i ludziom nie pozwala zajrzeć  
w swych oczu głąb. A gdy się w  
ból u wiję u jego boskich ud,  
prosząc o łaskę oczu, o spojrzeń  
jego cud, podnosi jedno z skrzydeł,  
jak śmiercionośny grot, prze-  
szywa usta moje, bezbożne usta  
w lot, na węgiel je spopiela w kró-  
ciutki jeden mig i w słowach mych  
zamiera miłości  
ludzkiej  
krzyk.

W cichym klasztorze, w słodkiej pokorze powinnam składać pieśni, w radosnej wierze barwić psalterze, nie płakać nigdy we śnie. I w bożym chramie ściany freskami trzeba mi zdobić w zachwycie, a farb hejnałem, szczęściem nabrzmiałym, winnam wyśpiewać życie. Lecz mi nie dano Chrystusa Pana glorią ozłocić głowy, ani anioła rozświecić czoła na fresku lazurowym. Więc mą tęsknotę za ikon złotem jak kwiat do książki schowałam i w trwóg zamęcie piszę w pamięci

jej nazwę  
Inicjałem.

W dzisiejszych wieków godzinę, gdy tak daleki brzask, oświeć mię, Nieustająca Pomocy, Szafarko bożych łask. Na mnie, leżącą krzyżem, rzuć snop niebieskich smug z Twoich, Najświętsza Panno, przezczystych, mlecznych dróg. I z Twych nadgwiezdnych szlaków promieni rozsiej pył, by krzyż mój się nie czernił, by wysrebrzony lśnił. W dzisiejszą trudną godzinę, gdy noc, jak łoskot krwi, bije o moją celę, wiosenną burzą grzmi, Pomocy Nieustająca, spójrz na mnie z gwiezdnych wyż, na mnie tu rozpiętą w samotny, ciemny krzyż. W rozterce mej niewymownej okaż Matczyny żal: ramiona mego krzyża w niezgiętą hartuj stal. Pod głowę mą gorącą złóż kwadrat jasných plam, jak księgę gregoriańską w okuciu srebrnych klamr. I niech jej nuta w celi noc całą hymnem brzmi, by wyschły pod powieką  
wiosenne  
moje łzy.

Octem poją mię ludzie, a Bóg dręczy głodem i każe mi łowić pokarm niebieskim niewodem, co straszy blaskiem ryby na dnie martwej rzeki. Więc usta mam ściśnięte od głodu i spieki, i głos bezbarwny, niski, niby szelest ostu, i krtań mam przepaloną od gorzkiego octu. Po dniach trudu próżnego i wiecznego głodu chce się usnąć na zawsze pod siatką niewodu, aby z Bogiem nie walczyć, nie płakać wśród ludzi; spać snem, co do życia już nigdy nie zbudzi. Lecz sen ten się opóźnia, a w nocy ciemności przychodzą do mnie inni, bardzo dziwni goście: siedmiu wędrowników, podróżą strudzonych, w domostwo me wchodzi w świecących chitonach, w wiśniowym, szmaragdowym, złotym, topazowym, w brązowym, turkusowym, ultragranatowym. Włoką skrzydła ogromne, jak schody po niebie, i stawiają mnie załękłą nagle pośród siebie. I podają chleb razowy i sól czystą, białą, by nakarmić mię do syta wśród ludzi zgłodniałą.

Słuchaj, Ty białoskrzydły  
Młodzieńcze okrutny, ofiarny An-  
helli, święty, polski, smutny, co  
przychodzisz rozżagwiony północ-  
ną aurorą, połóż mi swą dłoń białą  
na skronie, co gorą. Otom już z sił  
wyzuta od skrzydeł Twych chłosty,  
otom spaliła wszystkie poza sobą  
mosty, co mię wiodły do krewnych  
i bliskich mi ludzi, by tylko iść za  
Tobą w Twojej srebrnej ułudzie.  
Jak ryba umierająca, rzucam się w  
Twoją sieć, Ty łowco dusz samot-  
nych, najokrutniejszy w świecie,  
połóż mi ręce na oczy, niby srebrną  
lire, niech idę w blasku Twojej  
aureoli z ufnością i mirem. A dnie  
moje szare niech w opętaniu  
nie płaczą i więzów Twych  
skrzydlatych nie łamią  
z rozpaczą.

**B**łado-niebieskie, martwe księżyce pędzą mię w dawne polskie świetlice, więc lunatyczną prostując głowę, idę w pokoje te farfurowe, i dłonią pewną, jak w dawne czasy, odsuwam we drzwiach ciężkie arrasy. I po kobiercach na pawimencie stąpają nogi me w ornamentcie, w kwiatach księżycy i brokateli, i szukam siebie w strachu, bez celu. W spłowiałych salach i w loggii włoskiej szukam wciąż duszy swojej mongolskiej. Lecz bieżną, bieżną same komnaty, szeleszczą pyłem, prochem makaty, wiją się wstęgą wciąż gobeliny, a na pułapach drżą meluzyny i woskiem kapią płaczące świece w barwnych świecznikach i szklach weneckich. Lecz nigdzie znaleźć siebie nie mogę, idąc tą senną, błękitną drogą, ni w konterfektach, ni w kasetonach nie ma konturów duszą zwichrzonych. I tylko w sali ostatniej, wielkiej, widzę odbicie swe gdzie figielki: bo oto w szafie, pod kloszem z daszkiem, stoi kozaczek z łukiem i ptaszkiem, z sówką łowiecką – złą, nastroszoną, co wali dziobem w szafę oszkloną.

Na monasterskich szybach,  
na zodiakalnych rybach zbudowa-  
no grody, akwamarynowe lody,  
płynące, nękające ogrojce. Wiatry  
siwe archangielskie kołyszą szklane  
freski od gwiazdnej Uranii do  
Gibraltaru i Hiszpanii, suną gotyki  
w przesmyki, Atlantyki. I od Bia-  
łej Niedźwiedzicy płyną łodzie pod  
księżycy, miarowe, miarowe, jak  
marzenie Kolumbowe, śladem na  
Saint-Salwador. A monasterski  
służka, niemrawy Karpuszek zrywa  
się co nocy w straszliwej mocy i  
na szybę, zodiakalną rybę, co  
przeżęta, pluje  
z dziką twarzą  
marynarza ...

⊕

Nie karz mię, Boże srogi w  
ołtarzu, że trzem się bogom modłę  
od razu: Ładzie-Kupale, Isztar w  
księżycu, Chrystusa w cierniach  
krwawemu Licu. Nie karz mię,  
Boże, swym gniewem Pańskim, to  
wiatry płaczą we mnie bajkalskie  
i sosny czarne, smolne, skrzypiące,  
na uroczyskach witają słońce. Nie  
karz mię, mądry, jedyny Boże, to  
we mnie szumi Chwałyńskie Morze  
burzą i stepem, wirem błękitów,  
strzałami dzikich praojców Skitów.  
Nie karz mię, Panie, gniewu pio-  
runem, gdy Isztar w księżyc gna  
mię z tabunem, lecz niech Dzie-  
ciątko, Syn Twój człowieczy  
ból mój pogański  
uśmiechem  
leczy.

⊕



Na półeczce, wysoko, nad  
sosnowym kroksztynem leży wos-  
kiem świecący mój Kupała bóg.  
Pachnie lipcem i miodem, pobły-  
skuje bursztynem, strzeże mego  
dobytku, by nie zniszczył go wróg.  
Rzędem z bożkiem świetlistym  
dwie szczerbiałe ikony, z których  
ścieram codziennie szary, lepki  
pył, na nich Prokop cudowny,  
zwalczający demony; a nad półką  
– wianuszkiem – dziewięciśl, dzie-  
więciśl. Ile razy w me ręce bio-  
rę bożka Kupałę, lipcem, miodem  
gorącym rozpryskuje się krew, złote  
miecze – promienie przenikają me  
ciało, w izbie mojej kolumny trzech  
anielskich stref: archaniołów, che-  
rubów i serafów moc boska, w  
chacie ciemnej rozkwita dziewięć-  
siśl, dziewięciśl... Sława tobie, Ku-  
pało, sława, bogu mój z wosku, co  
potęgą i szczęściem ściekasz  
w krew moich  
żył.

Z tomu *Walec kierowy* (Lublin 1937)

## KARTA

Karta ... zwyczajna karta ...  
nic więcej.

Walec ... trywialny walec  
leżał w ręce.

Dama w wyciętej sukni,  
w berżerze,  
karty... niepewne karty  
pod sercem...

Stolik ... zielony stolik  
i świece.  
Asów ni królów – walec ...  
nic więcej.

Jakże tu wygrać dzisiaj  
w rozterce?  
Tylko siódemki... walec  
i serce.

## STAWKA

Noc wiosenna  
jak z wielu, wielu lat,  
z przekreślonych dat,  
z przebrzmiałych nut.  
Wiosną pachnie lód  
włosem księżycza  
i Swarożycza.

Grajmy w karty  
przy blasku świec,  
bo trzeba się strzec  
posepnych dum.  
Choć za miejski tum  
odleciały kawki,  
przegrane stawki.

Został walet,  
walet kier  
z hazardowych gier.  
Rozmiotaniem met  
drga jego flet.  
Grajmy na waleta –  
ja, noc i kobieta.

Za oknem wiosna...  
Trzeba strzec się dum,  
choć za oknem tłum  
niemiłosiernie drwi

z mojej gry.  
To nic nie znaczy:  
Stawmy na śpiew junaczy,  
na waleta kier,  
na muzykę sfer.

## LILIOWA SUKNIA

Na dzisiejsze twoje przyjęcie  
włożę suknię z jaskółkami  
na liliowym tle.  
Z lecącymi w dal ptakami,  
jak szarawe mgieł okiście  
w te wiosenne dni.

Jeszcze wiosny nie ma wcale,  
śniegi leżą przylaszczkowe  
na habitach pól.  
Jeszcze skute lodem żale  
śpią nieczułe i pluszowe  
jak zdławiony ból.

Jeszcze tylko rzeka wzbiera,  
w głębi grzmotem ciężko wzdycha,  
błękitnieje lód.  
Dziś czytałam w noc Homera,  
dziś ma dusza – grecka Psyche  
z rozśpiewanych nut.

Chciałam przyjąć cię w peplumie,  
w złotych frędzlach i czerwieni,  
ale zdjął mię strach:  
dzień liliowy dziś w zadumie  
i wokoło cienie, cienie,  
jak w misteriach snach.

Więc zrzuciłam płaszcz Ariadny,  
peplum Fedry purpurowe,  
    bo dziś jeszcze chłód,  
i dzień cichy i nieładny,  
szary, senny i marcowy.  
    O, linie bez nut!

Gdzieś już może kwitną cedry,  
w słońcu złocą się marmury  
    i Talatty w falach bieg.  
Gdzieś jest wielka miłość Fedry,  
u nas jeszcze chmury, chmury,  
    wzbierający akord rzek.

Włożę tylko suknię lila,  
z jaskólkami, wód wiankami,  
    kiedy przyjdiesz ty.  
Będzie niema zmierzchu chwila  
z urwanymi w pół słowami  
    jak wiosenne mgły.

Tak... najlepsza ta liliowa  
moja suknia w ton milczenia  
    i jaskółczych skrzydeł czerni.  
Na twe przyjście, na zmierzchowe,  
co podobne do cierpienia  
i przebija tak jak cierń.



## ZAGNIEWANE JASTRZĘBIE

Dlaczego tak szeroko  
otwierasz swe oczy,  
jakbyś chciał przeniknąć  
mię do samej głębi?  
Patrz lepiej w ciemne niebo  
wysoko, wysoko,  
gdzie w chmurach  
nastrzępione zawisły jastrzębie.

Może one nauczą  
ciebie mojej duszy  
zamkniętej w klatkę ludzkich  
twardych konwenansów.  
Może ptaki nad głową twą  
pieśnią zahuczą  
i muśnie ci po twarzy  
hejnał dysonansów.



Po co patrzysz mi w oczy  
pytająco, z żalem?  
Nic wczoraj nie było  
w czerni pustych ulic ...  
Ktoś przeszedł cichą nocą  
pod ciemnym woalem  
i twarz swą przemienioną  
w dłonie musiał tulić.

Z ciemnej bramy ulicznej  
wyszedł pan z cygarem,



by na ciemną w woalu  
postać tutaj czekać.  
Lecz ona za twym cieniem  
szła błękitną marą,  
a potem przed twym cieniem  
zaczęła uciekać.

Nie zacinaj tak ust swych,  
bo się nic nie stało ...  
Nie uśmiechaj się także  
radośnie do głębi.  
Spójrz w chmury wysokie,  
jak płyną wróżebnie,  
posłuchaj, co śpiewają  
w swym gniewie jastrzębie.





## STOSOWNA PARTIA

– Dla ciebie, dla ciebie  
stanowczo on za młody –  
mówi mi kuzynka.  
– Nie jesteś przecież głupia,  
gąska i dziewczynka,  
więc po cóż mu piszesz ody?  
Stanowczo, nie dla ciebie,  
dureń i za młody.  
Po co kompromitujesz  
swe wiersze i siebie? –  
– Zastanów się – mówi matka –  
któreż to kuglarstwo,  
najprzód było malarstwo,  
a potem poezje,  
wszelkie nowoczesne  
brednie i herezje,  
a teraz dancingowy  
urwis gołowąsy  
i znowu wiersze:  
„pocałunki tve pachną  
wiatrem i papierosem,  
a twarz bławatkim”.  
Oto wiersze wariatki –  
ciągnie głos matki.

I tak w kółko gderzą, łają,  
spokoju mi nie dają  
za me upojenie i wiersze  
coraz prawdziwsze i szersze,  
za dni czerwone i złote,

za noce fiołkowe z tęsknoty,  
za gesty odkrywczę, zuchwałę,  
za usta w krwi spurpurzałe.  
Za wiersze dla chłopaka,  
co do rajskiego ptaka  
podobny w mym ogrodzie:  
nieproszony wraca  
i jak słońce odchodzi.

A mój dobry znajomy,  
pan Józef, co ma dzieci,  
żonę i dwa domy,  
patrzy z uśmiechem  
i chcąc ustrzec  
mię przed grzechem  
szepce o partii stosownej:  
– Pani szanownej  
ja go przedstawię,  
ma lat czterdzieści,  
pensji miesięcznie  
dolarów dwieście.  
– Ach, już wiem – mówię,  
wygląda z angielska:  
twarz szara, zmarszczka męska  
pod nosem.  
Mówi obojętnym głosem,  
oczy ma świdrujące,  
taksujące kobietę zażarcie,  
podobny do zmęczonego ogara.  
Tak, panie Józefie,  
pan ma rację,  
oto stosowna dla mnie para.

## CO TO JEST MIŁOŚĆ?

– Ciekawy jestem,  
ciekawy jestem,  
niech pani powie,  
co to jest miłość? –  
Tak pyta walet  
z przekory gestem,  
łowiąc w rozmowie  
słów swych zawilość.  
– Co to jest miłość?  
To szal Tytanii  
w lesistej głuszy,  
co każe ośle całować uszy.  
To cios dziryta,  
na piersi Fedry  
koń Hipolita.  
To śmierć Barbary  
Radziwiłłówny,  
żony Augusta,  
gdy jadem z czary  
spaliła usta.  
I to jest moja  
miłość-zawilość,  
troszkę ci znana.  
Więcej nie pytaj,  
kochany ośle  
z miną sultana.

## FIZJOLOGIA

Wczoraj twój kolega  
pytał mnie natarczywie,  
co mi tak dolega,  
że nawet nie ironizuję,  
że przylizane mam włosy,  
pałę wciąż papierosy,  
milczę, nie rezonuję.  
Ach, co czuję?  
Czyż warto o tem mówić?  
Wszystko to trudno zrozumieć.  
Wszak wiersze o tobie  
dziwaczne, opaczne,  
na przekór światu i sobie.  
Piszę, aby sprawdzić miłość  
z bezczelną wiedzą,  
iż jest ona tylko przelotna.

To też wczoraj powiedziałam  
twemu koledze:  
– Jestem bardzo samotna,  
stąd ponure nastroje,  
wieczoru i nocy się boję.  
A twój piękny kolega,  
co oczy ma czyste  
jak pierwiosnki spod śniegu  
i rysy z marmuru,  
bawił mnie cały wieczór  
i prosił, bym nie patrzała  
na niego chmurą

i nie była brutalna,  
lecz kobieca i więcej realna,  
nie udawała Kassandry  
ani wieszczej Sybilli...

Czytaliśmy z nim meandry,  
aż w pewnej chwili zapomnienia...

Nie, nie, cierpienia...

Aby sprawdzić

twą prawdę nagą:

że miłości nie ma,

że tylko błaga...

Pozwoliłam, by twój kolega

całował me usta

(naturalnie w wyobraźni).

Wszak to zabawa pusta,

ludzka i prosta,

znana od Boccaccia i Ariosta.

Dzisiaj dzień cały  
przyznawałam ci rację,  
że miłość to „kawaly”,  
nie gwiezdna astrologia,  
lecz zręcznie orientacje  
i niezbędna fizjologia.

Jednak teraz — — —

Może jestem zmienna — — —

Nocą wiosenną

burzą nabrzmiało mi serce

i myślę, żeś oszczerca...

Bo oto tęsknię do ciebie,

piszę miłości słowa,  
te same od nowa, od nowa,  
palę papierosy „Safo”,  
w dymie odpływam  
na wschód,  
za koralową rafę –  
w morze,  
w oceany,  
w przypływy,  
w odpływy,  
w pęd kołysany.

Utrudzona,  
stęskniona,  
wierszem  
się ratuję.  
Piszę, palę  
i przeciw  
tobie – Bunt,  
BUNT

PRZYGOTOWUJĘ.

## GDY KOMETY SZELESZCZA

Nieprędko, o, nieprędko  
zbratam się z strofą giętką,  
z alegorią, fantasmagorią, –  
z personifikacją, gracją, –  
z synonimem,  
homonimem,  
z wymuskanym  
panem Rymem.

Bo wciąż jestem niespokojna  
i z sobą prowadzę wojnę,  
zaciężną, drapieźną,  
niedyskretną, namiętą,  
bo jestem „zwita  
jak łania i wąż,  
gwiazda  
i kobieta”.

A więc nieprędko będą symbole,  
wszak cierpię i wszystko we mnie boli  
od czekania-rozstania  
z tobą, coś globem  
ziemskim,  
ciężkim  
zagroził  
mi wszystkie  
ścieżki.



I place i ulice,  
horyzonty i błyskawice.  
I tylko wieczorem upiorem  
wychodzę, i na drodze  
dotykam się  
świata ogromu,  
i wyglądam,  
czy nie wchodzisz  
do mojego domu.

Lecz wśród gwiazdnego deszczu  
tylko światła w niebie szeleszczą  
i węzami-potokami  
pluszcze we mnie krew jak w puszczy  
gorąca,  
tętniąca,  
kąsająca.

I nie wiem, czyby żyć można było  
z tą krwistą, rozpętaną siłą,  
gdyby mi w nocy... sny-prorocy  
kuli grobowej nie zmieniali w twą głowę  
i nie kładli  
mi na łono  
głowy  
wiatrem  
i młodością  
upojonej.

Głowy bezwładnej i ściętej,  
ale nie proroczej i nie świętej,





choć pięknej i męskiej, kuli ziemskiej  
którą jak Salome bawię się po kryjomu,  
podrzucam i pieszczę,  
a gwiazdne deszcze  
i komety  
nade mną  
chrzęszczą  
i szeleszczą.

## GIGGOLO

Piękny giggolo,  
ruski Niccolo  
ma twoje usta  
i twoje gusta,  
duszę otwartą,  
życiem rozdartą.

Ma dwa profile:  
kocha dżonkile  
i swoje smutki,  
i mocne wódki,  
wiosny rizański,  
szlagier cygański.

Giggolo ruski  
jest bardziej ludzki  
niż tym, walecie,  
najsroźszy w świecie.  
Giggolo mały  
ludzko-wspaniały.

Jego ramiona  
są mi obroną  
w tangu, fokstrocie,  
przeciw tęsknocie,  
twojej niestałości  
i mej miłości.

Piękny Niccolo  
z miłą swawolą  
życie swe trwoni  
i w życiu tonie,  
w dźwiękach szlagieru  
jak łódź bez steru.

I mnie w swym biegu  
niesie do brzegu,  
do piersi ciśnie.  
– To nienaumyślnie –  
szepcze uroczy  
patrzac mi w oczy.

## KOMENTARZ TRZEŻWY

Tragedia...  
albo  
komedia:  
jedno  
z dwojga,  
bo kiedy  
chcę mówić  
o miłości  
zwyczajnej,  
trywialnej,  
co mi szarpie  
wnętrze, –  
raptem  
wzniosłości  
plączą się  
nuty  
i patosem  
podkute  
wychodzą  
wiersze.

No, bo  
właściwie  
co?  
Miłość to  
czy чуć?  
Łowić  
chłopca  
czy na to  
wszystko

pluć? ...  
I znowu  
pisać  
wiersze  
fałszywe,  
ckliwe,  
świętobliwe? ...

Lub gorzeć  
świecą  
romantyczną,  
Gustawową,  
od nowa, od nowa,  
godziną  
miłości,  
rozpaczy,  
przestrogi ...

53

O, bogi,  
greckie,  
białe bogi!  
Czyż warto?  
Chyba  
dla artyzmu  
i żartu.  
I to nie zawsze,  
wszak wiersze  
będą trwalsze,  
prawdziwsze,  
żywsze,  
  
jeśli ...

Jeśli...  
O, do czarta,  
będę otwarta:  
jeśli zapomnę się  
wcale  
i jak Lamiel  
Stendhala  
kupię trochę miłości.  
Nie tyle  
z ciekawości,  
ale dla tej samej  
artystycznej,  
dynamicznej,  
nieśmiertelnej,  
rzetelnej  
twórczości!

## WALKA

To nic,  
że chłopiec  
czar i „charme”...

Lecz chuć  
chimerą z wież  
Notre Dame – – –  
o piasek,  
żwir!

Jak wir  
zmij  
bij  
skłębione,  
czerwone!

Bij płazy!  
To nic,  
że od razów  
mdleją ramiona,  
ścieka krew,  
siwieje brew,  
od łez – oczy  
jak lód.  
Śpiewem  
nie z nut,  
lecz z samych  
żył  
chimerę – chuć  
w pył!

Ściągaj  
ją z wież  
krzykiem gam  
swego bólu!  
Nutą ostrą  
jak mieczem  
bij monstrum!



## KOLEDA

Sto świec pali się białych  
na grudniowej choince.

Świece  
jak wyciągnięte ręce  
błagają, by rodzący się

Bóg  
zmógł,  
śmierć,  
pleć.

By Trzy Osoby  
stały się  
jedną:

Ojciec, Syn, Duch,  
a raczej  
Duch-Matka,  
by starła  
głowę  
wężowi  
mężowi.

I ku Jej świętej czci,  
a nie dla płci rodzącej się  
zapaliłam  
dziś  
na choince  
świece,  
by i mojej  
męce świeciły,  
spalały się,  
unicestwiały się.

I tak jest: dopalają się,  
ze szczętem,  
nie tak  
jak w chrzest  
świeca  
rozżarzona,  
w wodę zanurzona,  
niedopalona,  
co stygmatem,  
płomieniejącym  
kwiatem kładzie się  
na człowieka od wieków.

## KU CZCI DIONIZOSA

Jeszcze widzę nad sobą  
twoje oczy jak sierpy  
tak zwężone w rozkoszy,  
jak w człowieku, co cierpi,  
jak w Dionisie omdlałym,  
gdy umiera, upada.  
O mój drogi, jedyny,  
czym naprawdę menada?

Czym naprawdę rozdarła  
twoją duszę na części,  
że bledniemy, milkniemy,  
przeżywając swe szczęście...  
Że zawisa nad nami  
cisza w swej okropności,  
jak Sakrament chłoniemy  
ciało boga Miłości.

Nie mam słów dla tej chwili  
w swojej grozie jedynej,  
gdy milkniemy tak obaj [sic!]  
w naszych serc Eleuzynie.  
I jesteśmy strwożeni,  
i jesteśmy bez głosu.  
Pawalony niech będzie  
święty szał Dionizosa!

I uczczone niech będą  
siostry dobre Sybille,

że mi dały wraz z tobą  
nasze groźne te chwile.  
I pochwalon Dionizos  
krzyżowany, gdy cierpi,  
i srebrzyste z ekstazy  
twoje oczy jak sierpy.

## NATURALIZM

To nie było tak pięknie,  
wcale... nie...  
I wiersz poprzedni  
kłamliwy,  
napisany źle.  
Byliśmy pijani  
on i ja...  
I w szal się obróciła  
nasza gra.  
A może nie w szal,  
lecz w rzeźbiarski akt,  
tak się miał fakt:  
całowaliśmy kielichy,  
a potem siebie.  
Zaczął od muszki  
na moim policzku,  
a potem  
jak samiczkę  
w usta,  
w usta,  
namiętnie,  
bezpamiętnie.  
A potem trząśł się  
jak mój bez rytmu wiersz  
i przy mej piersi  
była jego pierś.  
Łamał mi ręce.  
Gimnastyka  
wcale ciekawa,

lecz trochę niemrawa  
niby męska,  
niby szewska,  
a razem z tym  
chłopiec  
był podobny  
do pieska.

## GWIAZDY W STUDNI [I]

To nic, że pod oczyma  
parę zmarszczek legło  
i kilka włosów srebrnych  
w brąz grzywy się wprzęgło.  
Mocna jestem i silna,  
stwardniałam nareszcie,  
by wyrwać radość z życia  
i spóźnione szczęście.

To nic, że trochę ciężka,  
ciosana jak z glazu,  
żaden ból mnie już teraz  
nie złamie od razu.  
Żadna zdrada i miłość  
nie spali płomieniem,  
gdym nasiąkla jak ziemia  
własnym swym cierpieniem.

To nic, że czasem jestem  
cyniczna, bezwstydna,  
bo ludzka dusza teraz  
lepiej mi jest widna,  
więc nikogo nie kocham,  
przed nikim nie klękam  
i własnych się upadków  
nie wstydzę, nie lękam.

I w oczy ludzkie patrzę  
głęboko i śmiało

swoją ostrą źrenicą  
od łez skamieniałą.  
I nigdy już nie tęsknię  
za pięknie dalekiem,  
bo nikt mi nigdy nie był  
bratem i człowiekiem.

Droga życia poza mną  
prosta i uczciwa,  
na której być nie mogłam  
ni razu szczęśliwa.  
Drogę życia tę widzę  
tak równą i jasną,  
że wszystkie nad nią gwiazdy  
mącą się i gasną.

By światła te zobaczyć  
dziś w moje południe,  
muszę głowę nachylić  
do głębokiej studni,  
w przepaść spojrzeć zawrotną,  
na dno wody żywej,  
by ujrzeć swoje gwiazdy  
i ich blask prawdziwy.

Śmiała jestem i dzielna ...  
spojrzeć się nie boję,  
nachylić się też mogę:  
ciężkie serce moje,  
przeważy mą ciekawość  
zbytnią i uludną



i zatrzyma mię mocno  
nad tą życia studnią.

Spojrzę tylko na gwiazdy:  
Berenikę, Węgę,  
co mi wciąż świeciły  
poprzez życia wstęgę.  
A gdy je zobaczę,  
wyprzężę ramiona,  
dumna, żem kochała  
Niebo i Oriona.

Lecz jeśli gwiazd nie będzie,  
tylko czarna woda,  
wstanę bardzo zuchwałą,  
jeszcze bardziej młoda,  
wstrząsnę grzywą brązową,  
w srebrne, lekkie nici,  
by zacząć inne ludzkie  
i szczęśliwe życie.

## PIENIĄDZE

Wierszem ostatnim,  
„gwiazdami w studni”  
pragnęłam skończyć  
książkę miłości.

Wierszem dostatnim,  
dzbanem w południe  
pragnęłam zsząć  
zdrój namiętności.

I wypić umieć  
trzeba mi było  
dzban tej trucizny  
w białym milczeniu.

I nic nie mówić  
łzami ni siłą  
o bólu lutym  
ani marzeniu.

Dźwięcznym akordem  
i tajemnicą  
ostatnia karta  
tak by dźwięczała.

Lecz zgniłym nordem,  
ciemną ulicą,  
sobaczym żartem  
miłość się stała.

Po pocałunkach  
w szczęśliwej trwodze –  
w pieśzczotach palców –  
umowa krótka:

Bo w porachunkach  
i o pieniądzu  
prosił mię walet  
jak prostytutka...

Jakże tu skończyć  
„gwiazdami w studni”  
miłość współczesną,  
tej książki karty?

Jakże połączyć  
moje południe  
i grę przedwczesną  
chłopcem otwartą?

## WSZYSTKO W PORZĄDKU

Na wszystkie  
te patosy  
pluć, kobieto,  
i zapal papierosy.

I dymem gorzko-sinym,  
gorzko-sinym  
rozstań się  
ze swoim splinem.

Nie rób z serca  
zmarłej Ofelii  
ani damy  
z pęczkiem kamelii.

Ani kosmicznej  
egejskiej meduzy  
i nie niszczy  
popiołem bluzy.

Bluzy podpasanej  
rzemykiem  
nie pal papierosa  
płomykiem.

Bo naprawdę  
wielka szkoda,  
dziś wtorek,  
a jutro będzie środa.

A jutro zwykle  
tak bywa:  
zapomina się wszystko,  
tylko bądź cierpliwa.



Zresztą wszystko  
jest w porządku  
i nawet prawda  
dla księżki wątku.

I ostatecznie  
masz, czegoś chciała:  
całowałaś go,  
boś naprawdę śmiała.

Potem pójdzie  
łatwiej, po męsku  
i nie będzie serce  
jak Ofelia ciężkie.



Serce-Ofelia  
topione w wodorocie  
na dnie płytkim  
dzisiejszej miłości.

Ach, zostaw  
te porównania:  
staroświeckie  
upadki, złamanie.



Bo wszystko  
idzie doskonale,  
tylko dokup miłości  
na wzór Stendhala.

U ładnego  
współczesnego kup Don Juana,  
aby książka prędej  
była wyśpiewana.



## W SAMO SERCE

Oto mój najpiękniejszy wiersz ...

Jeży się i łśni  
jak apokaliptyczny zwierz.

Nie było nic,  
żadnej rozpusty:  
poemat –  
dźwięk pusty,  
literatura.

Choć wczoraj  
mówił mi walet:  
– Od dwóch lat  
nawisła  
nade mną chmura – – –  
to twoje oczy...

71

Lecz nie wierzę mu już  
ni w noc, ni w dzień  
przezroczy.

Został ból  
jak miodu ul,  
wspomnienie  
jednej tylko  
nocy.

Straszliwej,  
nieumierającej,

dotkliwej:

7-go czerwca ... roku ...  
nie było roku –  
ani obłoków  
na ciemnym niebie ...

Nie pomnę siebie,  
jaka byłam wtedy.  
Całowałam go w serce,  
w gołe serce ...

Szłam  
po księżycowej strudze – – –

I w dziwnym cudzie  
dwa razy dotknęłam  
ustami lekko  
jego śniadej skóry.

Chmury, chmury  
w gwieźdny czerpaku.  
Całowałam ptaka,  
dzikiego ptaka ...  
Trzepotał mi się w rękę – – –  
czułam  
przerażenie ...

To było natchnienie ...  
samo szczęście ...  
Nie było nic więcej



prócz wieczności –  
mejej miłości.  
Pod ustami  
serce ptaka,  
jak Hostia  
bez smaku ...  
I wysoko  
wśród czarnych,  
próżnych nieb – – –  
ostry,  
lśniący,  
konający  
oczu  
sierp.

## GWIAZDY W STUDNI [II]

Zielony stolik,  
świec ogarki  
odsuńmy –  
wielki czas!  
Trzeba się rozejść  
bez urazy,  
wszak nikt nie wygrał z nas.

Graliśmy długo i podstępnie –  
dwa lata, całe dwa.  
Noc stała ciemna,  
lecz z czarnej studni  
wyszły dziś  
gwiazdy  
z dna.

I Berenika  
i drżąca Wega,  
Niedźwiedzic  
srebrny rój,  
więc się wyświetla  
i kryształy  
rym połamany  
mój.

Po nocach czarnych,  
po dniach koszmarnych  
dziś właśnie  
pierwszy raz

ujrzałam w studni  
dawno mętnej  
swą cichą bardzo  
twarz.

I srebrne cuda  
stały w studni:  
tysiące pięknych miast,  
i świat znów widzę,  
i ludzi widzę,  
i jasność,  
jasność  
gwiazd.

## Z utworów rozproszonych

### ŁADA

#### 1

Wzniosła na ręce mię, dal wiosną otwarła,  
słońcem, błękitem rzek, traw świeżą zielenią.  
– Złoto, szmaragdy, szafir – rzekła wskazując.  
W blasku powieki mi wzwyż rwała przestrzenią.  
Runął stubarwny świat, barw biła ulewa.  
Rzeka, obłoków biel, słońc dyski gorące  
weszły pod oczy me, ból dławił orbity.  
– To świat, – szepnęła wtem, – to wiosna i słońce.  
– Wszystko to moje? Dla mnie, Łado? – spytałam  
– Daruję – rzekła, szept ust w czerwień ściskając.  
Ręką chwyciłam błękit, uciekł wysoko,  
zielen musnęłam palcem, pelzła igrając.  
Słońce ślepiło tęczę oczy zdumione,  
ręce dziecięce miraż z baśni tuliły.  
– Łado, – prosiłam, – dajże szafir i złoto.  
Ona milczała, blask dnia, skry ją świetliły,  
diadem słowiański z pereł, suknię wzorzystą.  
Wiecznym bursztynem włos tłał złoto-białym,  
dłonie z promieni stu słońc mnie kołysały.  
– Łado, o siostrze, ty świat? ... – cicho spytałam  
Wtedy zielony brzeg rzek i wód krynice,  
słońce złociste szczęściem szły mi w źrenice.

Wiatry zielone w step miały chmur kozackie znamiona.  
 Gabriel Archanioł niósł się w niebo, w szczyt uderzając  
 kopią,  
 za nim z pikami ostrz mołojcy w gon pędzili udały.  
 Bodiak czerwony wiał wichrami w tlen rozniesion ozonu.  
 Szumiał kwitnący step, zawodził dum żalony teorban.  
 Jastrząb-krogulec jęk w klekoty swe na kurhanie wplótl.  
 W szmerach stepowych koń atamana, ugłaskan przez Ładę,  
 leciał od Czarnych Mórz, śpiewał burzan kopytami porwan.  
 W burce kozackiej lejc ster chowała bezkresny, szlakowy,  
 pod nim dziewczynę mnie trzynastu lat strwożonych,  
 przezroczych.  
 Gnały obłoki wciąż z czambułem hymn zawodzącym  
 chmuro.

Krakał jastrząbczyk-zbój, cokały w szlak bachmata podkowy.  
 Burka mej siostry wtór łopotem swym podawała dumom.  
 Serce stukalo mi, rzemienny guz napiętych lejc je bił.  
 – Łado, umieram, tchu brakuje już, zrzuć mię tu w piołuny.  
 – Słuchaj, czy słyszysz pieśń? Czy słyszysz już? – pytała mię  
 szumem.  
 – Słyszę jedynie grom, – wołam w głos, – ciśnij mię, Łado,  
 precz!

Lecz koń nagle się wspiął... Kozackich pik gruchot, świst  
 nade mną.  
 Sto pik przebija mózg... I słyszę trąb precudowne granie:  
 Gabriel Archanioł w cwał nad uchem mem przeleciał,  
 ostrząc miecz.



Sady wiśniowe. Prószy biel,  
     Pachnie goryczą noc, słowiczą miłością.  
 Serce dziewczęce struną drży,  
     trąca wiosenna noc strunami skrzypeczek.  
 Pełen tajemnic nocny świat.  
     Sady kwitnące w cień skryły sens zawrotny.  
 Stiopa kozaczek wie o nim.  
     Słowik wyjaśnił sen róży zakochanej,  
 powód melodii lunnych strun.  
     Tylko ja nie wiem nic chodząca muzyką.  
 Rzucam się tu, tam ... Stopy drżą,  
     świata potrącam nieć zgubioną w przepaści.  
 Nie ma ratunku, w znowie glob,  
     tajemnic swoich sznur omotał w planetach.  
 A noc gwiazdami miga, lśni,  
     wchodzi czerniczka w dwór z posochem błyszczącym,  
 chwyta za włosy nagle mię,  
     w przestwór wyrzuca, w sierp błyszczący księżyc.  
 Słyszę, to Łada krzyczy: – Tańcz,  
     płasaj maleńka: nieb się dotkniesz i ziemi.  
 Lecą plejady, posoch tnie ...  
     Tańczę, w splełany krąg porzucona tajnią.

5

Płachtę wdziewała riz pachnącą płomieniem,  
buty jej krasne lak prószyły i kadmij,  
tchnęły oliwą ochr barwionych deszczulek.

A mnie w sarafan stroiła.

Farbą cudowną lśnił, koszula – złocieniem,  
kwiatem, a łapcie lip mamily zapachem,  
nozdrza chciwe w lot się rozwarły kielichem.

Sierpy dzwoniły nam w palcach.

A łąn bez końca biegł ze zboża westchnieniem,  
Śpiewał wciąż Łady sierp, wiązałam żyt snopki,  
gdy już nie miałam sił, padałam w znój ściernisk.

– Nakryj chabrami – prosiłam.

Spałam pod żytem, walcząc z ziemi pęcznieniem.  
Rosły bławatki z ócz, zboże z palców cienkich,  
odór pijaństwem piw zalewał głęb serca.

Wtedy poznałam tajń Stiopki.

6

Czerwone były dni jak wnętrze arbuza,  
słodyczą ciekły win z łon ziemi karmiącej.  
Pokornie trzeba lec, pić można bez końca  
miąsz ukraińskiej jesieni.

Basztany biegły w dół, mórz czarne bałwany,  
nosiłam kule dyń, tykw, w barki rybackie.

Odeski gwizdał wiatr, sól prószył gorącą,  
łódź szła z płodami w dal siną.

Marynarz, krzepki Czum, śmiał się do mnie z statku:

– Dziewczyno, podaj mi z rąk swoich dwie gruszki,  
zawiozę synom je od ciebie mołojcom,  
wart każdy z nich twojej gruszki.



Czerwone były dni, jak usta obrzmiałe,  
tajemnicza, ciepła dal wód Morza Czarnego...  
Pchnęła Łada świat słonecznikiem do słońca...  
Sama drżała od promieni.

7

Siniały śniegami, jary i bielą step,  
dzwonili co dzień w pustynkach na Advent  
nowicjusze: Wasilko, Bohdan i Cyryl.  
Od andrzejek wiśni kwitł snop.  
Wieczorem dziewczyny wróżyły z bobu, z kart,  
patrzyły w zwierciadło, jedna uciekła w noc,  
lustro pękło na pół, czerkieska, szabla, pas –  
pod oknem pelzły w jaru głąb.  
Na święta przyjeżdżał sanek brzęczący rząd,  
wyrzucał w świetlicę kozaków, grajów rój.  
– Oj doniu, żal ciebie, – śpiewał przebrany did, –  
kochaniu ty nie dasz rady.  
W nocy did stukał w szybę, spelzał z niego len,  
śmiała się twarz cudna z monasterskich skądś cel.  
... Święty Igor to był, lub z Waregów Oleg? ...  
Mówił głosem dziwnym Łady...

81

8

Od Perekopu sznur żurawi mknął zza mórz,  
doliną, pagórkami Wiosna Marewna szła,  
którędy stapały niebieskie jej butki,  
ogniste tam rosły maki.  
Pasterz Flor ponad Dniestr barany tłuste gnał,  
gdy zasnął w wąwozie, Marewny butki dwa  
przeszły mu po sercu... Na fujarce więc swej

grał o tem ... Krzyczały ptaki:  
– Strzeż się strzeż, pasterzu. Musiała to być Czymur,  
ptaszycza znad rzeki Dzen-dzen-czy-wi-wjut.  
Śpiewa tak, że umarł, drażniąc ją każdy z nas,  
nikt nie dorównał z śpiewaków.  
Lecz pasterz nie słucha. Chodzi – gra, leży – gra.  
Barany się pasą. Obloki płyną z nut.  
– Wiosno Marewno, najslodsza z ziemi kras,  
bądź dobra dla nas prostaków.

9

Dianę-łowczynię uczcijcie, dziewczęta:  
czerwone dziś łanie pognała polanką,  
z oczu strzelca uciekły,  
tylko bór westchnął z tęsknoty.  
Dianie-bogini posadźcie dziś sosnę,  
niech szumi w ogrodzie wieczyste jej pieśni,  
sarnę młodą przed śmiercią  
boski łuk zasłonił złoty.  
I Ładę-Atenę pochwalcie, dziewczęta,  
że w pole nas z sierpem prowadzi w zaranie,  
każe dotknąć się sztuki  
gorzkiej ust spękanych znojem.  
Atenie słowiańskiej posadźcie dziś lipę,  
niechaj z niej pszczoły miód dla pieśni, zdroj sącą,  
usta życiem zranione  
słodko jest leczyć tym zdrojem.





EWANGELINA SKALIŃSKA

## POSŁOWIE

*Olga Daukszta – rekonstrukcja: biografia, tożsamość, poezja*

Bohaterką tego tomu jest Olga Daukszta (1893–1956) – polska poetka lotewskiego pochodzenia, która nie tyle została zapomniana (jak mógłby sugerować tytuł serii), co właściwie dotychczas jej nie odkryto.

Autorzy nielicznych prac badawczych poświęconych Daukszcie za każdym razem poczuwają się do słusznego obowiązku, aby ją czytelnikowi przedstawić. Podaje się więc zwykle garść niewiele mówiących, szczegółowych informacji, zaczerpniętych z rozmaitych źródeł<sup>1</sup>. Dzisiaj na pewno wiadomo, że Olga Daukszta (vel Dauksztówna – tak podpisane były jej dwa pierwsze tomiki) urodziła się w Rydze w roku 1893, tam też skończyła prestiżowe polskie Gimnazjum Emilii Lichterowicz (1912). Rok później była już absolwentką klasy pedagogicznej Dźwińskiego Gimnazjum (specjalności: literatura i historia rosyjska). Okres pierwszej wojny światowej spędziła Daukszta w Rosji (przede wszystkim chyba w Jarosławlu), do którego wyjechała w roku 1915. Tuż po wojnie rozpoczęła studia w wyższej szkole malarstwa w Moskwie (1918), które musiała prze-

85

<sup>1</sup> Przede wszystkim – z książki K.A. Jaworskiego, *W kręgu „Kamieny”*, Lublin 1965 (rozdział *Olga Daukszta*). Zob. również: A. Durejko, *Polskie życie kulturalne i literackie na Łotwie w XX w.*, Wrocław 2001. Nieocenionym i najciekawszym ze znanych obecnie źródeł informacji o Daukszcie są jej listy do Kazimierza Jaworskiego z lat 1934–1939, przechowywane w Muzeum Literatury im. Józefa Czechowicza w Lublinie.

rwać w 1921 lub 1923 r.<sup>2</sup> z powodu słabego zdrowia. Wtedy też wróciła na Łotwę i zamieszkała w Dyneburgu, który w listach do Kazimierza Jaworskiego określała mianem „pustyni” i „zasmolonego miasta-piekielka”. W roku 1937 Daukszta, „ażeby się nie nudzić”<sup>3</sup>, rozpoczęła studia polonistyczne w Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie. Po wybuchu drugiej wojny światowej poetka musiała wrócić do Dyneburga, w którym mieszkała aż do śmierci, w roku 1956. Przez cały okres pobytu na Łotwie pracowała jako nauczycielka, m.in. języka polskiego, w dyneburskich szkołach polskich. W tym mieście opublikowała też dwa pierwsze tomy poetyckie – *Dźwina o zmierzchu* (1930), *Błękitne inicjały* (1933) – i tutaj dotarł do niej pierwszy list od Kazimierza Jaworskiego, który zaproponował jej współpracę z „Kamena”, a następnie stał się wydawcą ostatniego opublikowanego zbioru wierszy Daukszty – *Waleta kierowego* („Biblioteka »Kameny«”, 1937)<sup>4</sup>.

Tyle – właściwie – wiadomo dzisiaj na temat Olgi Daukszty, autorki trzech opublikowanych tomów poetyckich i wielu utworów w formie rękopisów, których los jest dzisiaj niepewny<sup>5</sup>. Nie wiemy, w jaki sposób rodzina Daukszty

<sup>2</sup> Rok 1921 jako datę opuszczenia Rosji przez Dauksztę podaje A. Durejko, o roku 1923 (na podstawie informacji od samej poetki) pisze K.A. Jaworski.

<sup>3</sup> K.A. Jaworski, *op. cit.*, s. 133.

<sup>4</sup> Jak można sądzić na podstawie wspomnianego zbioru listów, Jaworski nie był jedynym polskim wpływowym krytykiem literackim, który interesował się twórczością Daukszty. Korespondowała ona również ze Stefanem Kołaczkowskim, a o jej adres starał się Julian Tuwim.

<sup>5</sup> Agnieszka Durejko podaje następującą informację, która (niestety) nie znalazła potwierdzenia w trakcie prowadzonej przeze mnie kwerendy: „Tylko dzięki Helenie Filipienok ocalał on [nieopublikowany dotąd dorobek Daukszty] i znalazł swoje miejsce w Bibliotece Ossolineum we Wrocławiu. Rękopisy poetki spoczyły niedaleko od dzieł Mickiewicza i Słowackiego” (A. Durejko, *op. cit.*, s. 208).

znalazła się na Łotwie, dlaczego właściwie poetka musiała przeprowadzić się do prowincjonalnego Dyneburga ani też z jakiego powodu przez kilka lat mieszkała w Rosji...

Natomiast – szczęśliwym trafem – do dziś przetrwało bardzo interesujące oświadczenie Daukszy dotyczące jej tożsamości narodowej:

    Nie jestem Rosjanką ani prawosławną, jak niektórzy myślą. Jestem katoliczką ochrzczoną w ryskim kościele [...]. Nazwisko moje jest żmujdzkie, a może tatarskie [...], myślę, że jestem w zgodzie ze swym imieniem i nazwiskiem [...]. Wszak i ja mam kose oczy, szerokie plecy, nieduży wzrost [...]. W rodzinie mojej nie brak przyzwoitych nazwisk polskich i niemieckich [...]. Zresztą ja sama nie wiem, kim jestem. Piszę po polsku i lubię Polaków [...]. Najbliższy mi jest step i las, czuję mocno Ukrainę [...].<sup>6</sup>

Wielokulturowe środowisko XX-wiecznej Łotwy zmuszało więc do podjęcia wysiłku samookreślenia. Jednocześnie (w przypadku osób myślących kilkoma językami i kulturami naraz) ostateczne je uniemożliwiało. A inność – będąca tu stanem poniekąd normalnym – przyczyniała się zarazem do bardzo mocnej (może nawet mocniejszej niż w przypadku kultur homogenicznych) potrzeby powiedzenia o jakimś miejscu, że jest ono już nie tylko „moje”, ale „nasze”. Właśnie tak specyficznie, niejednorodnie rozumiana „naszość” została wyeksponowana w debiutanckim tomie poetyckim Daukszy.

<sup>6</sup> K.A. Jaworski, *op. cit.*, s. 132.

## DŹWINA O ZMIERZCHU

Wydaje się, że wśród kilku osób piszących o Daukszczie najbliższy prawdy był Krzysztof Zajas, czytający *Dźwinę o zmiierzchu* z perspektywy poetyki kulturowej i postkolonializmu. Rzeczywiście, niewiele jest w literaturze polskiej tekstów, które tak dokładnie naświetlałyby problematykę wielokulturowości i odrębności lokalnej, ciągłego współprzebywania z Innym. W poniższym wyborze znajdzie czytelnik wiersze poświęcone krajobrazom inflanckim, być może współcześnie trudnym do dokładnego umiejscowienia na mapie wyobraźni. Głównym komponentem tego widoku jest Dźwina – rzeka zmienna, niepokojąca, pełna tajemnic. Jakże wiele dzieli ją od obecnej w polskiej wyobraźni literackiej „rzeki domowej” czy „rodzinnej”. Dźwina Daukszty pozostaje w nieustannym ruchu, podobnie jak wszystko, co znajduje się na jej brzegu. W ten sposób staje się ona najlepszym symbolem nieokreśloności Inflanckich, ich braku zakorzenienia, swoistej bezdomności kulturowej. Ten, komu zdarzy się ulec fatalnemu urokowi tej rzeki, nie będzie już miał drogi odwrotu, bo Dźwina:

Otworzy szkarłatne zamki na dnie. Uderzy w dzwony.  
I zbrzydnie ci wszystko oprócz niej na ziemi,  
jak kamień na jej brzegu staniesz w nią wpatrzony,  
niepotrzebny nikomu na świecie i na zawsze niemy.

(*Dźwina*)





Rzeka ta – niczym prasłowiańsko-bałtyckie bóstwo – wymaga też nieustannych ofiar. Żeby mogła żyć, musi zabierać życie:

Włosy jej zielono-popielate  
 pachną linami jak hanzejski maszt,  
 umierają wetknięte w nią kwiaty  
 i gasną w nich tęsknoty nieśmiertelnych gwiazd.

[...]

A oczy szklane, zmarłe bursztynowe  
 ciągną serca ludzkie niepowrotnie w głąb.

[...]

Ziemia mogilna, żółta mielizna  
 i spopielają tęsknot błękitnych grób.

(Mielizna)

Lektura wierszy Daukszty może prowadzić nas do wniosku, że fatalny urok Dźwiny rozciąga się na całą okolicę, przestrzeń geograficznego i historycznego niebytu, w końcu nie przypadkiem Inflanty bywają określane mianem *nowhereland*,

co zastygł pod lawą... A kraj karłów niemych  
 nie pyta już dawno: – Dlaczego i czemu?  
 W królestwie wrzosowisk, z uszlęmi sosnami,  
 bezdenne, ogromne jak niebo nocami.

(Inflanty)

Przyroda i pamięć historyczna Inflant mogą stwarzać wrażenie miejsca przerażającego, ostatniej przystani, z której nie ma już ucieczki. Jednak nie widać w tych wierszach woli odejścia. Inflanty, których bogata historia zaczyna w latach



trzydziestych XX wieku powoli zamierać, ciągle jeszcze przechowują pamięć przeszłości (nawet jeśli jej symbolem jest carska twierdza obronna, zbudowana w XIX wieku z gruzów kamienic Starego Miasta). Pamięć przeszłości zaś – w obrębie prezentowanego tomu – wiąże się z nawarstwieniem różnych narracji dotyczących tego samego miejsca:

Na ulicy, nad Dźwiną, wśród sklepów żydowskich  
i starowerskich domków o zielonych oknach,  
przed którymi jarzębiny wiosną w deszczu mokną,  
w noc jedną wyrósł pałac o frontonach włoskich.

*(Sen nad ranem)*

Tak więc drugim bohaterem tomu obok Dźwiny staje się sam Dyneburg. Ważne, że spośród trzech równolegle funkcjonujących w latach trzydziestych XX wieku nazw tego miasta (łot. Daugavpils, ros. Дзвінск, pol. Dyneburg) Daukszta wybiera właśnie nazwę polską. Nie chodzi tu – jak sądzę – jedynie o język, w którym pisze, ale o wybór pewnej tradycji kulturowej, punktu „0”, z którego patrzy poeta na rzeczywistość miasta. Krzysztof Zajas pisze w pewnym miejscu o pojawiających się sporadycznie w wierszach Daukszty obrazach „życzliwych panów kolonizatorów”. Ciekawe, że to właśnie ich widmowe sylwetki zamieszkują wiele stron debutanckiego tomu Daukszty:

Nie było to w Dźwińsku,  
ale w Dyneburgu jesienią  
gdy się drzewa  
starem złotem mienią  
[...]  
Z popielatego domu Mohla,

przez podwórze, gdzie spireje  
ogółocone,  
aż na szosową aleję  
wyszła powoli dama.  
Rozejrzała się wkoło  
załękniona.

Lorgon podniosła rączką  
do oczu, a vaterproof  
jej w kratkę szkocką  
był cynobrowy.

[...]

Z domu, gdzie lwy przed bramą,  
wyszedł pan z baczkami  
á la Bariatinski,  
złożył ukłon pani Minnie  
ceremonialnie niski.

I poszli, poszli razem  
pod drzewami w dal zamgloną,  
z tytułu.

W alei pachło cygarami  
„Virginia” i perfumami  
„Coeur de Loulou”

[...]

*(O spadających liściach)*

Tego rodzaju obrazki mogą współczesnego czytelnika nieco dziwić, kojarzyć się z niezbyt wyrafinowanymi pod względem literackim fragmentami panięńskich pamiętników. Jednocześnie te piękne, pachnące postaci są „rzeczywistymi widmami”, przedstawionymi tu z żartobliwym dystansem. Pałac „á la Rastrelli” czy „pani Minna z lorgonem” nie mają przecież racji bytu „na ziemi mogilnej” czy wielo-



kulturowych, kolorowych dzielnicach „dla gminu”.

Jeszcze innym widmowym, ale traktowanym już całkiem serio mieszkańcem poetyckiego Dyneburga jest „Julek” – autor „czeremchowych słów o Balladynie”, *Króla-Ducha*, a przede wszystkim – *Anhellego*. Symptomatyczne, że Dauksza decyduje się na wprowadzenie w obręb swoich wierszy właśnie tej gorączkowej, zmiennej, migotliwej tradycji literackiej Słowackiego. Ale jednocześnie – warto o tym bardzo mocno pamiętać – w żaden sposób nie zagłusza ona własnego głosu poetki, co w przypadku XX-wiecznej kresowej twórczości literackiej jest niemal ewenementem.

## BŁĘKITNE INICJAŁY

Można sądzić, że właśnie wyobraźnia poeticka późnego, „mistycznego” Słowackiego jest kluczem do lektury kolejnego tomu Olgi Daukszy – *Błękitnych inicjałów*. Kłopoty interpretacyjne pojawiają się już na wstępie. Nie wiadomo bowiem, jak dokładnie należałoby określić jego zawartość: poezja, proza, proza poetycka, liryki prozą czy (co jest chyba najbliższe prawdy) – *carmina figurata*?

*Błękitne inicjały* – jako jedyna publikacja Daukszy – zostały opatrzone dedykacją: „Matce Franciszce Bernardynce Wileńskiej książeczkę moją poświęcam”<sup>7</sup>. To odniesienie do osoby duchownej doskonale współgra z pierwszą częścią *Błękitnych inicjałów* i z graficznym ukształtowaniem większości

<sup>7</sup> Matka Franciszka Bernardynka Wileńska, bardziej znana jako s. Franciszka Wierzbicka, malarka, autorka słynnej kopii wileńskiego obrazu Matki Boskiej Ostrobramskiej (przechowywanej obecnie w kościele przy klasztorze ss. Bernardynek w Łodzi). W latach trzydziestych XX wieku s. Franciszka pełniła funkcję mistrzyni nowicjatu w klasztorze ss. Bernardynek w Wilnie.





składających się na nie tekstów poetyckich.

Pierwsze utwory wprowadzają czytelnika w nastrój duchowej grozy. Są jakby punktem przejścia, odcieniem się od świata doczesnego pozostającego poza murami klasztoru, do których wejścia broni „niesamowity Seraf”.

Pisałam przed chwilą o możliwej inspiracji twórczością późnego Słowackiego, jaką można dostrzec w *Błękitnych inicjalach*. Przejawiałaby się ona przede wszystkim w bogatym, barwnym, niejasnym obrazowaniu i ciągłym napięciu między doczesnością a wiecznością, dziedziną ducha i światem ciała; wrażeniem bliskiego obcowania z duchami i aniołami, wizyjnością. Jednocześnie nie są te utwory „naśladowaniem ze Słowackiego” – ich poetycka autonomiczność przejawia się przede wszystkim w strukturze tomu, ukazującej stopniową rezygnację z wizyjności duchowej, oraz w szczególnej formie graficznej zapisu wierszy. Można ją interpretować jako pewnego rodzaju pożegnanie Daukszty z malarstwem oraz – jednocześnie – próbę skomponowania utworu słownego wpisanego w ramy obrazu. Wydaje się, że bezpośrednią formą wizualną, do której nawiązuje Daukszta w swoich *carmina figurata*, jest kształt obrazów malarskich. Liryki z tego tomu są jakby wpisane w ramy obrazów. W ten sposób stają się czymś pośrednim między obrazem słownym a malarskim, łącząc ze sobą w nowatorski sposób wizualną moc słowa poetyckiego i kolorystyczną, plastyczną sugestywność dzieła malarskiego.

W ciąglej walce między tym, co widzialne tylko duchowo, a światem namacalnym – wygrywa u Daukszty zmysłowość. I to chyba przede wszystkim odróżnia *Błękitne inicjały* od późnej poezji Słowackiego, przez co tomik ten staje się bliższy wrażliwości modernistycznej. W tym tomie poetka



stopniowo oddala się od niepokojącej, „gęstej” wizyjności i zaczyna „malować” portrety sióstr zakonnych i świętych, żeby następnie – wciąż zachowując formę graficznego zapisu wcześniejszych liryków – przejść do tematyki „egzystencjalno-rodzajowej”.

Warto też odnotować na marginesie, że trudno jednoznacznie mówić o „religijności” poezji Daukszty. Bardzo emocjonalny ton początkowych „obrazów sakralnych” *Błękitnych inicjałów* po chwilowym obniżeniu zostaje zastąpiony przez liczne inwokacje do boga słowiańskiego: Łady–Lela–Kupały. Naturalnie nie ma tu mowy o traktowaniu tego „triumwiratu” zupełnie serio, natomiast w wersach o „świetlistym Kupale z wosku” widać wyraźną sympatię do wypędzonych bogów bałtycko-słowiańskich, do ich zmysłowości i witalności.

W ostatniej części *Inicjałów* niemalże rezygnuje Daukszta z tonów religijnych i ze „spiczastego”, barokowego kształtu graficznego utworów. Tu mamy do czynienia jedynie z ciągiem szkiców–migawek przedstawiających kobiety współczesne, a początkowe napięcie emocjonalne tomu rozwiewa się niemal bez śladu.

## WALET KIEROWY

Właśnie spojrzenie „kobiety współczesnej” staje się rodzajem dominanty kompozycyjnej *Waleta kierowego* – trzeciego tomu Daukszty. Przypomina on konstrukcją raczej poemat w odcinkach niż zwykły zbiór poezji, jest opowieścią o miłości (?) dojrzałej kobiety do „urwisa–gołowasa” – tytułowego Waleta. Zbiór ten został opublikowany pod szyldem



„Biblioteki »Kameny«” i dlatego może wzbudził znacznie większe zainteresowanie krytyki literackiej niż oba tomy wcześniejsze. Większość krytyków – może poza redaktorem „Kameny” – potraktowała *Waleta* z dużym dystansem i ironią. Tak na przykład Karol Wiktor Zawodziński pisze o nim na łamach „Rocznika Literackiego”:

[...] te niedbale wierszyki, genre „romans cygański”, stoją na poziomie artystycznym A. Własta, a gdy wpadają w refleksję, to przypominają bliskiego terytorialnie autorce M. Szklennika. Porodziła je łatwość wierszowania i kobieca namiętność do wygadania swych przeżyć erotycznych.<sup>8</sup>

Niezbyt wysoką ocenę walorów artystycznych *Waleta* potwierdza również badaczka współczesna Agata Żylińska, pisząc, że „poetyckie wypowiedzi Daukszty oscylują na granicy grafomanii”<sup>9</sup>. Z tych dość zbieżnych opinii krytycznoliterackich wynurzają się dwa istotne problemy badawcze: pierwszym z nich jest feministyczny i poniekąd ekshibicjonistyczny charakter tomu, a drugim – jego wartość poetycka.

Problem pierwszy stanowi prawdziwą gratkę dla krytyki feministycznej. W tomie Daukszty dochodzi nie tylko do wyraźnego odwrócenia kulturowych ról płciowych (przecież to bohaterka gra o *Waleta*, uwodzi go i w końcu – opłaca jego usługi erotyczne), ale też podejmowane przez nią zabiegi zostają w zbiorze wyraźnie ukazane. Co ważne, to obnażanie własnych uczuć i zachowań pełni funkcję

<sup>8</sup> K.W. Zawodziński, *Liryka i epika wierszem*, „Rocznik Literacki za rok 1936”, red. Z. Szmydtowa, s. 51–52.

<sup>9</sup> A. Żylińska, *Koncepcja miłości w „Walecie kierowym” Olgi Dauksztówny*, [w:] *Pogranicza wrażliwości w literaturze dawnej oraz współczesnej*, red. I. Iwasiów, P. Urbański, cz. 1: *Miłość*, Szczecin 1998, s. 176.



metaliteracką – przygoda z Waletem staje się materiałem do napisania tomu wierszy. Kochanek jest potrzebny bohaterce lirycznej nie tylko do osiągnięcia satysfakcji erotycznej (o czym mówi się tu zupełnie wprost), ale też do dostarczania przeżyć doskonale mieszczących się w ramach romantycznego i – później – modernistycznego „życiopisania”. Zawodziński pisał z przekąsem o kobiecej potrzebie mówienia o swoich przeżyciach erotycznych. Również i ten aspekt *Waleta kierowego* zasługuje – w ramach dyskursu feministycznego – na duże uznanie. Daukszta, decydując się na odwrócenie kulturowych i społecznych ról płciowych, nie rezygnuje z podkreślania swojej wrażliwości kobiecej właśnie, a jej szczególnie żywiołowe przejawy opisuje z dużą dozą autoironii. Typowy, charakterystyczny chociażby dla głównego nurtu literatury polskiej, podział dyskursu kobiecego na prywatny i publiczny tutaj zostaje odrzucony. (Ważne, że w tym geście przekraczania granic prywatności nie wyczuwa się zabarwienia prowokacyjnego). Na początku liczy się tylko eksperyment literacko-erotyczny, który później zaczyna zmierzać w kierunku „pisania terapeutycznego”, bliskiego skądinąd romantycznym sposobom prowadzenia dyskursu miłosnego.

Bohaterce wierszy Daukszty, kobiecie poetce, nieustannie towarzyszy dawny (i – być może – najbardziej naturalny) rodzaj wrażliwości, który zmusza ją do upatrywania w kochanku tego, co piękne. Jednocześnie piękno *Waleta Kierowego* ma jedynie płaszczyznę fizyczną, zmysłową. Bohater ten – będący jedynie narzędziem umożliwiającym pisanie „muzem” – właściwie nie istnieje. W *Walecie* mamy do czynienia co najwyżej z rozmaitymi projekcjami wyobrażeń bohaterki na jego temat, a przecież ten enigma-



tyczny sposób opiewania swoich „boskich kochanek” został wprowadzony do literatury polskiej właśnie w okresie romantyzmu.

A jednak „narratorka liryczna” tego tomu nie jest poetą romantycznym, ale – kobietą. Dlatego dostrzeganie przez nią prawdziwej natury Waleta i jego licznych zdrad prowadzi do cierpienia, które – odruchowo – przywdziewa klasyczną maskę Ofelii lub Fedry. Tyle że – chociaż Dauksza nie nazywa tego wprost – bohaterka jej wierszy po chwili zdaje sobie sprawę z kulturowej natury tego gestu i próbuje przysłonić go warstwą ironii<sup>10</sup>.

I to są – chyba – jedyne fragmenty tomu, które ocalają jego „liryczność”, w których widać coś więcej niż tylko eksperyment literacko-egzystencjalny. A jednocześnie – trzeba to powiedzieć zupełnie wprost – wiersze te są w tomie najsłabsze.

W ten sposób zbliżamy się do drugiego zagadnienia – walorów poetyckich *Waleta*. Dla czytelnika nawykłego do metryki polskiej sprawą najbardziej uderzającą są krótkie, jednowyrazowe, rymowane wersy:

Szalona, jesteś,  
szalona,  
piszesz znowu  
opowieść czerwoną.  
Przez mgłę  
namiętności –  
oskarżasz

<sup>10</sup> Kolejną warstwą ironiczną jest w *Walecie kierowym* szereg nawiązań do stereotypów uczuciowych międzywojennej kultury masowej. Przykładem może być np. wiersz *Giggolo*, będący trawestacją czy pastiszem popularnej wówczas piosenki *Piękny żigolo*, wykonywanej przez Tadeusza Faliszewskiego.

najpiękniejszego,  
najmilszego,  
najszczerzego  
chłopaka,  
co pijany  
twą obecnością  
z radością  
wyspiewał  
ci swe życie  
od A do Zet.

*(Komentarz)*

Trudno się dziwić Zawodzińskiemu, który pisał o „łatwości rymowania” Daukszy. W wersologii polskiej tego rodzaju rymy mogą się kojarzyć – co najwyżej – z poziomem artystycznym księdza Baki. Jeśli jednak wziąć pod uwagę wcześniejsze osiągnięcia poetyckie Daukszy, warto zastanowić się nad możliwymi źródłami tak specyficznej sztuki rymotwórczej.

Pamiętając o pochodzeniu poetki, moglibyśmy upatrywać źródła takiego ukształtowania metrycznego wiersza w poezji łotewskiej, ale, jak pisała sama Dauszka w jednym z listów do Jaworskiego, poezja ta nie wydawała jej się dość ciekawa. Myślę – choć jest to tylko przeczucie – że ważną tradycją literacką (także pod względem metrycznym) mogła być dla Daukszy rosyjska poezja „srebrnego wieku”. Dość przywołać kilka krótkich, dynamicznych wersów z wierszy Mariny Cwietajewej:

Obłoki – w krąg,  
Kopuły – w krąg.  
Ponad Moskwą całą –  
Ile starczy rąk! –  
Podnoszę ciebie, ciężarze najlepszy,  
Drzewino moja  
Nieważka!<sup>11</sup>

Albo utwór nieco bliższy tematycznie:

Pod zimową zorzą,  
Pod dziesiątą brzozą,  
Niedaleko cerkwi  
Czekaj, Don Juanie!

Ale klnę się tobie  
Na me zaręczyny,  
Że w ojczyźnie mojej  
Nie ma gdzie całować...<sup>12</sup>

99

Wydaje się, że można na poetykę *Waleta* spojrzeć m.in. z perspektywy próby formalnej przeszczepienia na grunt polski obcego metrum, dającego nowe sposoby ekspresji.

## ŁADA

W ostatniej części tomu znajdzie czytelnik jeden z najpóźniejszych drukowanych utworów Daukszty – poemat *Łada*, który po raz pierwszy ukazał się na łamach

<sup>11</sup> M. Cwietajewa, Z „*Wierszy o Moskwie*”, [I], tłum. A. Słucki, [w:] eadem, *Poezje*, oprac. i wstęp S. Pollak, Warszawa 1968, s. 98.

<sup>12</sup> M. Cwietajewa, Z cyklu „*Don Juan*”, [I], tłum. D. Wawilow, *op. cit.*, s. 98.

„Skamandra” (1938). Ten nierówny pod względem artystycznym tekst jest kolejną próbą stworzenia heksametru polskiego. Symboliczno-oniryczna, urywana akcja poematu rozgrywa się na Ukrainie. I choć (jak możemy się domyślać) Daukszta nie miała okazji, by poznać ten kraj osobiście, poemat nawiązuje do mitycznego myślenia o ziemi ukraińskiej jako o przestrzeni niezwykle bujnej i zmysłowej, której u poetki patronuje mityczna bogini Łada. Ciekawe, że z całego panteonu starożytnych bóstw słowiańskich Daukszta wybrała właśnie tę androgeniczną postać, która staje się w poemacie symbolem siostry, matki, opiekunki i rodzącej, dającej życie Ziemi. I tutaj – podobnie jak dzieje się to w *Błękitnych inicjałach* – świat bóstwa pogańskiego został przez poetkę połączony ze światem chrześcijańskim. Ponad stepami Ukrainy, nad którymi panuje Łada, przełataje Archanioł Gabriel, a prawdę o Ładzie zna jedynie mnich Kaźmirko.

Łada – medium między światem nieświadomych emocji i naturą – jest również przewodniczką po zmysłowym, nasyconym kolorem, wirującym świecie poematu. To właśnie ona przeprowadza główną bohaterkę przez doświadczenie inicjacji cielesnej:

Słyszę, to Łada krzyczy: – Tańcz,  
pląsaj maleńka: nieb się dotkniesz i ziemi.

Lecą plejady, posoch dnie...

Tańczę, w splełtany krąg porzucona tajnią.

I na jej cześć zostaje ułożony pochwalny hymn, zamykający poemat, skierowany do Diany-łowczyni i „Ateny słowiańskiej” – Łady.

## NOTA EDYTORSKA

Ze względu na niewielką objętość tomiku nie zamieszczono tu utworów publikowanych przez Dauksztę na łamach „Pionu” czy „Kameny”. Jedynym usprawiedliwieniem tego braku jest podana niżej bibliografia druków rozproszonych poetki.

Ponieważ wszystkie tomy Daukszty zostały przez autorkę dokładnie skomponowane, przy dokonywaniu wyboru starałam się zachować rytm poszczególnych zbiorów i widoczny w nich sposób prowadzenia „wątku lirycznego”, dobierając utwory nie tylko najbardziej udatne (według mojego sądu) pod względem artystycznym, ale też słabsze, stanowiące konieczne ogniwa, aby pokazać zamysł całości.

Podstawę przedruku stanowią pierwodruki utworów:

101

Olga Dauksztówna, *Dźwina o zmierzchu*,  
Dyneburg 1930, drukarnia „Zorza”.  
Olga Dauksztówna, *Błękitne inicjały*,  
Dyneburg 1933, wydawnictwo „Naszego Głosu”.  
Olga Daukszta, *Walec kierowy*,  
„Biblioteka »Kameny«” 1937.  
Olga Daukszta, *Łada*,  
„Skamander” 1938, XCIII–XCV.

Pisownię tekstów w pewnym stopniu zmodernizowano. Pojawiającą się konsekwentnie w wierszach Daukszty (zwłaszcza z dwóch dyneburskich tomików) „j” zastąpiono literą „i” (np. w wyrazach takich jak „glorja” => „gloria”). Dokonano również modernizacji pisowni łącznej i rozdzielnej wyrażeń przyimkowych (np. „zdala” => „z dała”, „nawpól” => „na wpół”) oraz partykuły „nie” z czasownikami oraz przymiotnikami i imiesłowami przymiotnikowymi (tu przede wszystkim: „niemasz” => „nie masz”). Zmodernizowano pisownię samogłosek nosowych (np. „bronzowy” => „brązowy”). Uspółcześiono także pisownię nazw miejscowych (np. „Wałdajska wyżyna” => „Wałdajska Wyżyna”).

Interpunkcję (poza usunięciem kropek po tytułach wierszy) pozostawiono bez zmian.

W nawiasie kwadratowym podano uwagi edytora.

Na koniec chciałabym przekazać wyrazy wielkiej wdzięczności Osobom, które bardzo pomogły mi w zgromadzeniu materiałów wykorzystanych przy pracy nad tym wyborem. Dziękuję więc za serdeczność i zaangażowanie Lazarowi Fleishmanowi; za wiele ciekawych i inspirujących wskazówek – Ēriksowi Jēkabsonowi; oraz Borysowi Rawdinowi za błyskawiczną i bardzo rzetelną pomoc. Przede wszystkim zaś dziękuję Piotrowi Mitznerowi za to, że jako pierwszy opowiedział mi o Oldze Daukszcie.

## BIBLIOGRAFIA UTWORÓW OLGI DAUKSZTY

### W „Kamienie”:

- Babka Alona*, nr 1 (wrzesień 1934).  
*Poszukiwanie ojczyzny*, nr 3 (listopad 1934).  
*Kondotierzy*, nr 10 (czerwiec 1935).  
*Na mierzei*, nr 4 (grudzień 1935).  
*Matiolę*, nr 10 (czerwiec 1936).  
*Karta, Stawka, Co to jest miłość, Ostatnie drzwi, Stosowna partia*, nr 1 (wrzesień 1936).  
*Sierpień markizy Agnieszki*, nr 2 (październik 1936).  
*Dziki łabędzie*, nr 3 (listopad 1936).  
*Spojrzenie surowe*, nr 4 (grudzień 1936).  
*Młody miesiącek*, nr 8 (kwiecień 1937).  
*Z poematu „Pańszczyzna”*, nr 7 (marzec 1938).

### W „Skamandrze”:

*Łada*, 1938, XCIII–XCV.

### Recenzje z epoki:

- S. Czernik, *Nowości poetyckie*, „Prosto z Mostu” 1938, nr 22.  
S. Napierski, *U poetek*, „Wiadomości Literackie” 1932, nr 38.  
A. Nieławicka, *Olga Dauksztówna, poetka bałtyckich wybrzeży*, „Życie Kulturalne” 1939, nr 9.  
W.K. Zawodziński, *Liryka i epika wierszem*, „Rocznik Literacki” za rok 1936, red. Z. Szymdtowa.

### Opracowania współczesne:

- A. Durejko, *Polskie wiersze znad Dźwiny*, Wrocław 1994 (tu zob. dwa niepublikowane wcześniej wiersze Daukszty: *Do mewy* oraz *Pamiętam ów zielony brzeg...*, s. 95–96).

A. Durejko, *Polskie życie kulturalne i literackie na Łotwie w XX w.*, Wrocław 2001, s. 203–215.

M. Maciejewska, *Twórczość Olgi Daukszty na tle polskiej poezji dwudziestolecia międzywojennego*, „Ruch Literacki” 2003, z. 5.

K. Zajas, *Nieobecna kultura. Przypadek Inflanckich*, Kraków 2008, s. 338–345.

K. Zajas, *Olga Daukszta. Poetka polsko-inflancka*, [w:] *Etniczność – Tożsamość – Literatura*, red. P. Bukowiec, D. Siwor, Kraków 2010.

*Polskie poetki na Łotwie*, [w:] *Dwudziestolecie mniej znane. O kobietach piszących w latach 1918–1939. Z antologią*, red. E. Graczyk, M. Graban-Pomirska, K. Cieszan, P. Biczowska, Kraków 2011.

A. Żylińska, *Balladowa „mała ojczyzna” Olgi Dauksztówny*, „Zeszyty Naukowe” (Uniwersytet Szczeciński) 1999, nr 10.

A. Żylińska, *Koncepcja miłości w „Walecie kierowym” Olgi Dauksztówny*, [w:] *Pogranicza wrażliwości w literaturze dawnej oraz współczesnej*, red. I. Iwasiów, P. Urbański, cz. 1: *Miłość*, Szczecin 1998.







## SPIS TREŚCI

Z tomu *Dźwina o zmierzchu* (Dyneburg 1930)

Dźwina	7
Mielizna	8
Il dźwiński	9
Inflanty	10
Sen nad ranem	11
Na różowej ziemi	12
Na promie	13
Rycerz w niszy	14
Rybałt wędrowny w Dźwińsku	15
W piątek wieczorem	16
W Rydze	17
Biją zegary	18
Pociągi odchodzą ...	19
W miasteczku Subocz	20
Rozes smarżo [Pachną róże]	21
Na granicznych traktach	23
O tem pisali poeci	24

Z tomu *Błękitne inicjały* (Dyneburg 1933)

*** <i>O sześć tęczowych skrzydeł, ...</i>	25
*** <i>W cichym klasztorze, ...</i>	26
*** <i>W dzisiejszych wiekow godzinę, ...</i>	27
*** <i>Octem poją mię ludzie, ...</i>	28
*** <i>Słuchaj, Ty białoskrzydły Młodzieńcze ...</i>	29
*** <i>Blado-niebieskie, martwe księżyce pędzą ...</i>	30
*** <i>Na monasterskich szybach, ...</i>	31

*** <i>Nie karz mię, Boże srogi ...</i>	32
*** <i>Na półeczce, wysoko, ...</i>	33

Z tomu *Walet kierowy* (Lublin 1937)

Karta	34
Stawka	35
Liliowa suknia	37
Zagniewane jastrzębie	39
Stosowna partia	41
Co to jest miłość?	43
Fizjologia	44
Gdy komety szeleszczą	47
Giggolo	50
Komentarz trzeźwy	52
Walka	55
Kolęda	57
Ku czci Dionizosa	59
Naturalizm	61
Gwiazdy w studni	63
Pieniądze	66
Wszystko w porządku	68
W samo serce	71
Gwiazdy w studni	74

Z utworów rozproszonych

Łada	76
Postowie	85
Nota edytorska	101
Bibliografia utworów Olgi Daukszy	103





Wydawca  
Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN”  
[www.teatrnn.pl](http://www.teatrnn.pl)



Redaktor serii  
Piotr Mitzner

Wybór i postłowie  
Ewangelina Skalińska

**3** BIBLIOTEKA  
ZAPOMNIANYCH  
POETÓW

Korekta  
Krzysztof Gajowiak

Skład, układ graficzny  
Michał Kaczkowski

Druk i oprawa  
Drukarnia Petit  
[www.petit.lublin.pl](http://www.petit.lublin.pl)

Lublin 2013  
ISBN 978-83-61064-50-3



MIASTO



POEZJI









**LUBLIN 2013**